

Nigdy nie planowałam, że będę pisać

Emilia Kiereś – autorka i tłumaczka książek dla dzieci i młodzieży, ostatnio tworzy także okładki i ilustracje do swoich powieści. Do pisania podchodzi bardzo poważnie, podkreślając jak ważny jest szacunek do czytelnika i ostrożność w posługiwaniu się słowem, zwłaszcza jeśli chodzi o książki dla najmłodszych.

Jest pani pisarką i ilustratorką. To chyba wymarzona sytuacja dla pisarza, jeśli ma wpływ na niemal każdy proces powstania jego dzieła i może nie tylko decydować o kształcie książki i wybierać z gotowych pomysłów edytorskich i graficznych – ale sam je realizować.

To prawda – wspaniale jest móc stworzyć książkę, która jest moim pomysłem od A do Z. Wymyślam i piszę tekst, potem projektuję okładkę



Ilustracja z książki „Kwadrans”

i ilustracje, ich układ w książce – dzięki temu mam poczucie całkowitej spójności treści i formy, wszystko idealnie do siebie pasuje, jest wynikiem tego samego nastroju i tej samej myśli. Co nie znaczy, że niechętnie współpracuję z innymi ilustratorami. Wręcz przeciwnie. Na taki całościowy projekt odważyłam się dopiero przy mojej trzeciej książce „Łowy”. Przy dwóch pierwszych byłam jedynie autorką tekstu, przy czym ilustracje do „Srebrnego dzwoneczka”, mojego debiutu, namalowała moja mama, a do „Brata” – mój mąż, czyli dwie najbliższe mi i najlepiej rozumiejące mnie osoby. Pewnie dlatego także przy tych książkach mam poczucie, że wszystko razem tworzy idealną całość. Chętnie jednak spróbowałabym jeszcze kiedyś współpracy z innymi ilustratorami, którzy dopełniliby moje książki swoim własnym spojrzeniem i zinterpretowałyby je po swojemu – myślę, że to wartość nie do przecenienia.

Dotychczas pisała pani książki dla dzieci, pracowała pani także przy redakcji książek, m.in. pani Małgorzaty Musierowicz, znanej i popularnej autorki literatury dla dzieci i młodzieży – prywatnie pani mamy. A zatem wciąż tematyka dla młodych czytelników. Mówi się, że nie jest to proste – pisać dla dzieci. Zgadza się pani z tym twierdzeniem?

Wydaje mi się, że pisanie w ogóle nie jest proste, wbrew pozorom to ciężka praca. Nie mam też porównania, bo nigdy nie tworzyłam dla dorosłych, ale sądzę, że jest w tym dużo prawdy, pisanie dla dzieci jest trudniejsze. Przede wszystkim dlatego, że musi być bardziej odpowiedzialne. Człowieka dorosłego można dowolnie przestraszyć, zasmucić, wstrząsnąć nim – on sobie ze wszystkim poradzi i z reguły wie, czego się może spodziewać po danej książce. Dziecko podchodzi do lektury z ufnością, której pisarzowi nie wolno zawieść. Pisząc, staram się zawsze zwracać na to uwagę i pamiętać o tym, że słowo ma wielką moc – można nim wyrządzić nie tylko wiele dobra, ale i krzywdę.

Co jest najtrudniejsze w procesie tworzenia dla dzieci: konieczność wejścia w ich świat, obudzenie wewnętrznego dziecka w sobie czy ujęcie prostym językiem rzeczy ważnych, pożytecznych, wartościowych?

Tak jak już wspomniałam, nie mam doświadczenia w pisaniu dla dorosłych, ale wydaje mi się, że twórczość przede wszystkim należy traktować poważnie, niezależnie od tego, do kogo jest skierowana. Poważnie nie w tym sensie, że nie można się nią bawić czy tworzyć rzeczy śmiesznych





i dowcipnych, ale w tym sensie, że efekt powinien być porządnie wykonany. Moim zdaniem to jest najtrudniejsze – wykonać dzieło, w którym nic nie zgrzyta, w którym wszystko jest konsekwentne i nie ma zbędnych elementów. Mnie się to zawsze kojarzy z mostem czy inną konstrukcją, w której nie widać małych śrubek, choć każda z nich jest potrzebna, żeby całość się nie zawaliła. To jest ideał, do którego stale staram się dążyć. Minimum zbędnych elementów, za to lekki w przyswajaniu efekt. I to jest najtrudniejsze, ale – jeśli się uda – daje ogromną satysfakcję. Poza tym uważam, że jednym z najważniejszych zadań książki jest oswojenie dziecka ze światem, pokazywanie mu panujących w nim reguł, ale tak, by utwierdzić je w przekonaniu – prawdziwym! – że ten świat jest mimo wszystko piękny i że warto być dobrym, że nawet w trudnych sytuacjach można znaleźć oparcie w drugim człowieku i pewnych ponadczasowych wartościach. Staram się też pamiętać o tym, że dla dzieci często trudnymi sytuacjami są te, które nam, dorosłym, wydają się błaha: brak przyjaciółki, dokuczliwi koledzy czy nawet piegi. Dla nich to bywają ogromne życiowe problemy. W każdym razie zależy mi na tym, żeby czytelnicy odnajdywali w moich książkach pewną prawdę o świecie i poczucie bezpieczeństwa. To też nie zawsze jest łatwe, zwłaszcza że moi bohaterowie z reguły znajdują się w sytuacjach skrajnie niebezpiecznych.

Która pozycja z dotychczas napisanych jest najbliższa pani sercu i dlaczego?

To bardzo trudne pytanie, z rodzaju: „które ze swoich dzieci kocha pani najbardziej?”. Każdą swoją książkę lubię na inny sposób, bo też każda z nich jest zupełnie inna, ma inny nastrój i powstawała w innych okolicznościach. Z każdą wiążą się różne wspomnienia. Może raczej powiem, za co je lubię? „Srebrny dzwoneczek” za nastrój wakacji i wiszącą w powietrzu melancholijkę jesienną (jesień to moja ulubiona pora roku!), za to, że ta atmosfera przypomina mi moje własne wakacje z czasów, gdy byłam dzieckiem. „Brata” – za to, że to chyba najbardziej przygodowa z moich książek. Lubię podobieństwa i różnice między braćmi-bliźniakami,

o których jest ta opowieść, lubię jej mroczny a zarazem swojski nastrój; postać Wodnika i małego Bożątka, i to uczucie lekkiej trwogi, kiedy wyobrażam sobie czarne jezioro, nad którym wszystko, co w tej książce ważne, się wyjaśniło. „Łowy” są mi bliskie, bo pozwoliły mi się przenieść w czasy bliskie Mickiewiczowi (to mój ulubiony poeta) i wczuć się w ten dawny, miniony świat, poczuć zapach wiejskiego chleba i wyobrazić sobie, jak wyglądał wieczór w dziewiętnastowiecznym dworku, za oknami którego dzieją się rzeczy niewytłumaczalne i groźne, nie z tej ziemi. W „Kwadransie” lubię zegary i zagadkę, nad którą sama nieźle się nagłowiłam. I lubię ją z powodu opisów śniegu – to było dla mnie wielkie wyzwanie: akcja książki dzieje się zimą, nie mogłam opisać śniegu dwa razy tak samo. Świetnie się przy tym bawiłam. „Rzekę” lubię za Kiliana, chyba najbliższego mi bohatera spośród wszystkich, których wymyśliłam, za jego niezwykle silną więź z rodziną, choć tak niewiele brakowało, żeby wszystko zepsuł. Za nastrój rycerskiej opowieści. I jeszcze za góry, które sama bardzo kocham.

Wielu twórców literatury dziecięcej ma problem z przesadnym dydaktyzmem w tekstach. Morał jest zbyt oczywisty, w dodatku podany niemal na tacy przez narratora, tak jakby pisarz obawiał się, czy na pewno zostanie dobrze zrozumiany. U pani tego nie dostrzegam, a przecież trudno nazwać pani książki lekkimi.

Lekki – rzeczywiście, chyba nie, w tym sensie, że staram się pisać o rzeczach ważnych, nie o błahostkach. Dlatego tak bardzo lubię konwencję baśniową i tak chętnie z niej korzystam. Nawet jeśli akcja moich książek toczy się we współczesności, staram się, by rządziła się – chociaż w jakimś stopniu – baśniowymi prawami. Mam wrażenie, że dzisiejszy świat trochę zapomniał o baśni, takiej prawdziwej – a przecież ona jest potrzebna nam i naszym dzieciom tak samo, jak wszystkim pokoleniom przed nami. Dzieci rozumieją znacznie więcej niż nam się często wydaje, nie odbierają tekstu dosłownie, doskonale czytają treści ukryte między wierszami. Nawet jeśli nie potrafią ich sformułować, nazwać



– czują je i rozumieją. Trzeba wierzyć w dziecięcego czytelnika i w to, że odczytuje ukryte sensory. Tak jest rzeczywiście. A formuła baśni jest bardzo pojemna, pozwala na posługiwanie się alegorią, symbolem – bardzo lubię tę jej właściwość. Dzięki temu też nietrudno mi uniknąć dydaktyzmu – opowieść mówi sama za siebie, nie trzeba wszystkiego nazywać wprost. Ogólnie rzecz biorąc jestem wielką zwolenniczką niedopowiedzenia jako środka wyrazu – uważam, że także czytelnikowi warto zostawić trochę miejsca na to, żeby sam nazwał pewne sprawy zasygnalizowane w tekście. „Rzeka” to książka o dorastaniu. Czytamy, że Kilian wraca do domu i widzi go mniejszym, a koszula, która wcześniej była obszerna, nagle zaczyna pasować do jego ciała. Chyba podobnie jest z dziecięcymi strachami, obawami, problemami, które zmniejszają się lub bledną w obliczu dorosłości.

Pewnie tak – niektóre się zmniejszają, do innych dorastamy, tak jak Kilian. Tak sobie teraz myślę, że dorastanie do różnych spraw jest jednym z najistotniejszych motywów, jakie pojawiają się w moich książkach. Wydaje mi się, że to bardzo ważny temat i że właściwie przez całe życie musimy dorastać do coraz to nowych spraw, które budują nas takimi, jakimi jesteśmy – jakimi ciągle się stajemy. Dlatego niemal wszystkich moich bohaterów stawiam w sytuacjach granicznych – żeby poznali zasięg swoich możliwości i żeby zobaczyli, że stać ich na więcej niż im się wydaje. Żeby poznali swoje prawdziwe „ja”, które ujawnia się właśnie w tych krytycznych momentach. Muszę Pani powiedzieć, że czuję ogromną sympatię do stworzonych przez siebie postaci – to zabawne, że czasem zdarza mi się myśleć o nich jak o żywych istotach – i czasami sama się dziwię, że potrafię przysporzyć im tylu kłopotów i zmartwień. Robię im naprawdę nieźle psikusy, pakuję ich w okropne tarapaty, każę im spotykać przedziwne istoty, napędzam im stracha – no ale może właśnie dzięki temu czytelnicy tak ich lubią. Bardzo im kibicują – ja zresztą też. Skoro mówimy o dzieciństwie i wzrastaniu w określonym otoczeniu, to nie mogę nie zapytać o to, czy myślała pani kiedyś o byciu kimś innym niż autorką książek? Bo wydawać by się mogło, że nie miała pani wyjścia. Książki były pani przeznaczeniem.

O, tu Panią zaskoczę: dopóki nie napisałam „Srebrnego dzwoneczka” wcale nie myślałam o tym, żeby pisać książki! Teoretycznie z pewnością miałam inne wyjście – najlepszym dowodem jest to, że z całej czwórki

rodzeństwa tylko ja zajęłam się zawodowo literaturą. Ale zgodzę się, że rzeczywiście była ona moim przeznaczeniem. Od zawsze wiedziałam, że cokolwiek będę robić w życiu, musi to mieć związek z książkami – ale nigdy nie planowałam, że sama będę pisać. Przez bardzo długi czas chciałam zajmować się wyłącznie tłumaczeniami. Bardzo lubię tę pracę, ma w sobie coś z lamigłówek – a miłość do lamigłówek jest u nas rodzinna. Bawi mnie szukanie właściwych słów, zabawa znaczeniami i samo ćwiczenie stylistyczne, jakim jest przekład, choć to nieraz bardzo drobiazgowo i mozolna robota. Ale któregoś razu, całkiem niespodziewanie, zaczął mi w głowie kielkować pomysł, który stopniowo się rozrastał, nie dawał mi spokoju – i tak to się zaczęło. Najdziwniejsze jednak było to, że kiedy napisałam tę pierwszą książkę, nagle, jeden po drugim, zaczęły mi się rodzić w głowie coraz to nowe pomysły. Zupełnie jakby ktoś otworzył zamknięte do tej pory drzwi, za którymi cisną się i tłoczą rozmaite historie. Dość niezwykle doświadczenie.

Mówi się, że dobry tłumacz musi być też świetnym pisarzem, nie wystarczy znać dobrze język, idiomy, frazeologię, ale trzeba umieć tworzyć przyjemne zdania w swoim własnym języku. Zgadza się pani z tym poglądem?

Całkowicie się zgadzam. Im lepszy pisarz, tym lepszy tłumacz – pod warunkiem, że czuje się swobodnie w języku obcym i że nie ponosi go własny talent i styl, kiedy tłumaczy. Ale im lepszy pisarz, tym mniej go chyba ponosi, bo potrafi postawić sobie tamę.

Mieszka pani pod Poznaniem, ale dzieciństwo i czas studiów spędziła pani w naszym mieście. Co obecnie najczęściej wyciąga z domu Emilii Kiereś, by odwiedzić stolicę Wielkopolski?

Przyjaciele. Kino. Koncerty. No i targi książki, rzecz jasna.

Czy może pani zdradzić, nad czym pani pracuje w ostatnim czasie i kiedy możemy spodziewać się nowej książki?

Właśnie teraz mam bardzo pracowity okres – przede wszystkim wraz z panią redaktorką z wydawnictwa Akapit Press przygotowujemy wznowienie „Srebrnego dzwoneczka”. Jest przy tym sporo roboty, bo zmienia się format książki, ilustracje, choć te same, co w pierwszym wydaniu, tutaj będą całostronicowe, musimy je więc dopasować, całość wymaga też nowego składu – a czasu zostało niewiele, bo książka ma się pojawić w sprzedaży już pod koniec października. Przyznam, że niezwykle przyjemna to praca, bo już widać, że edytorsko będzie to śliczna i dopracowana książka.

Poza tym bardzo intensywnie pracuję nad nową powieścią dla młodych czytelników – będzie nosiła tytuł „Haczyk”. O wszystkich nowościach informuję zresztą na bieżąco na mojej stronie internetowej (emilia.kieres.net) i na facebooku. Tutaj mogę jednak zdradzić, że wśród całkiem zwykłych i codziennych zdarzeń moi bohaterowie trafiają na ślad rodzinnej zagadki z przeszłości – wtedy to zaczynają się dziać rzeczy dziwne i trudne do wyjaśnienia. Jak zawsze pojawiają się elementy fantastyczne – będzie bardzo przygodowo, ale i refleksyjnie. Nowa książka najprawdopodobniej będzie miała premierę na poznańskich targach książki, czyli w marcu 2016, a zanim to nastąpi, wraz z moim mężem przygotowujemy jak zwykle jej animowany zwiastun.

rozmawiała Joanna Swędrzyńska

Zdjęcia: archiwum domowe Emilii Kiereś